

OSTATNIA KRYPTA

PRZYGODY ULISESA VIDALA



FERNANDO
GAMBOA

OSTATNIA KRYPTA

OSTATNIA KRYPTA

PRZYGODY ULISESA VIDALA

FERNANDO
GAMBOA

Oryginal work copyright:

©Fernando Gamboa

Tytuł oryginału:

La Última cripta

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak

Skład i łamanie: Piotr Jarco

ISBN: 978-83-976707-9-2 (druk)

ISBN: 978-83-978114-0-9 (EPUB)

ISBN: 978-83-978114-1-6 (MOBI)

ISBN: 978-83-978114-2-3 (PDF)

ISBN: 978-83-978114-3-0 (audiobook)

autornia

www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2025 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2025

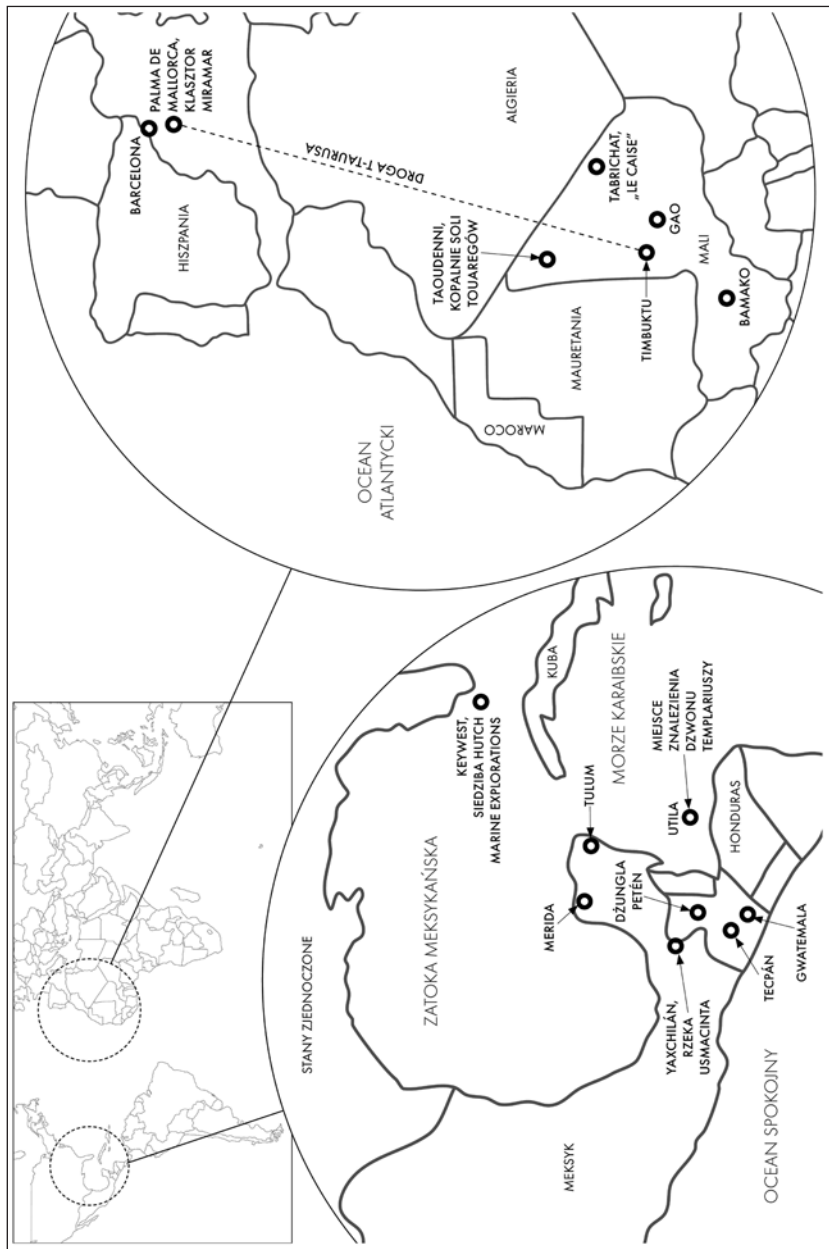
Myślałem, że to przygoda, a to było życie.

Joseph Conrad

Atlas kataloński

Abraham Cresques (1375)





PROLOG

Zanim zaczniecie tę opowieść, pozwólcie, aby Arturo Pérez-Reverte – mistrz literackiej przygody – wprowadził was w jej klimat. Oto fragment jego prozy, który stanie się kluczem do tej niezwyklej historii:

„(...) Pozwólcie, że zapalę fajkę, a wy usiądźcie wygodnie i posłuchajcie – jeśli tylko macie ochotę. Pamiętajcie jednak o jednej rzeczy: moich opowieści nie da się rozłożyć na części bez utraty ich sensu. Jeśli spróbujecie zachować dystans, nigdy nie dotrzecie do prawdy ukrytej między słowami. Są historie, które wymagają niewypowiedzianej umowy – między autorem a czytelnikiem. W powieściach przygodowych nie wystarczy jedynie śledzić fabułę; trzeba zanurzyć się w świecie wydarzeń i przeżyć je razem z bohaterami. Biada wszelkim mędrkom i niedowiarkom! Jeśli nie porzucisz sceptycyzmu, jeśli nie dasz się porwać wyobraźni i nie poczujesz tej szczególnej więzi – choćbyś był najwytrawniejszym z czytelników – lepiej odłóż tę książkę. Powieść przygodową należy traktować jak sakrament lub partię szachów: z pełnym oddaniem i poszanowaniem jej praw. Koniec końców, czytelnicy dzielą się na dwie grupy: tych, którzy dają się porwać narracji i stają w samym wirze zdarzeń, oraz tych, którzy wiecznie tkwią w przedśionku, nigdy nie przekraczając progu prawdziwej przygody (...).”

Arturo Pérez-Reverte.

Dublon kapitana Ahaba

A teraz, bez zbędnych wstępów – niech zacznie się przygoda.

BURZA

– Refować grot! – rozkaz kapitana ledwo przebił się przez huk sztormu. – Zabezpieczyć fok!

W odpowiedzi rozległo się tylko przeciągłe wycie wiatru. Mimo to kilku śmiałków rzuciło się w stronę want, nie zważając na potężne fale przetaczające się przez pokład. Z determinacją wspinali się po mokrych linach, walcząc z wichurą, która bezlitośnie smagała ich twarze lodowatym deszczem. Wiedzieli, że jeśli nie zwiną żagli na czas, potężne podmuchy, osiągające prędkość ponad siedemdziesięciu węzłów, rozerwą płótno na strzępy albo, co gorsza, doprowadzą do złamania się jedynego masztu statku.

Brat Joan Calabona, wbrew rozkazom kapitana, stał na rufie, kurczowo trzymając się relingu, aby nie zostać zmytym przez kolejną falę. Wolał zginąć na pokładzie niż dusić się w odorze potu, moczu i wymiocin w zatęchłej ładowni.

Z niedowierzaniem patrzył, jak okręt jeszcze niedawno będący prawdziwą dumą floty, teraz przypominał kruchą łupinę orzecha miotaną przez rozszalałe morze. Fale uderzały w kadłub z każdej strony, zrywając liny i łamiąc reje jak zapalki. Wiatr siekł słonym deszczem, którego krople przypominały ostre lodowe igły boleśnie raniące każdą odsłoniętą część ciała.

Kilka kroków dalej – choć w tym chaosie mogło to być równie dobrze kilka mil – stał kapitan Villeneuve. Mrużył oczy, próbując dojrzeć cokolwiek w wirującej kipieli. Uniesioną ręką wskazywał sternikowi niewidoczny punkt pośród spiętrzonych fal, usiłując przekrzyczeć szkwał. Jego komendy ginęły jednak w huku żywiołu. Sternik energicznie kiwał głową, choć rozumiał tylko połowę.

Joan Calabona, przemoczony do szpiku kości, wciąż kurczowo trzymał się relingu. Strach ścisnął mu gardło. Zastanawiał się, czy właśnie tutaj, zgodnie z wolą Bożą, zakończy swoją ziemską podróż.

Minęło niemal osiem tygodni, odkąd pod osłoną nocy wypłynęli z portu La Rochelle. Ich flota liczyła osiemnaście kog, każda długości od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu stóp. Ładownie statków pękały w szwach od cennego ładunku. Aby wygospodarować dodatkowe miejsce, wyrzucono nawet kamienie balastowe.

Przez dwadzieścia dwa dni żeglowali bez zawijania do portu. Dopiero na Wyspach Szczęśliwych zatrzymali się, by uzupełnić zapasy. Na Gome-rze zaopatrzyli się w wodę, owoce i warzywa. Od tamtej chwili minęło... dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć? A może dwadzieścia siedem dni? Nikt już nie liczył.

Woda w beczkach zaczęła cuchnąć, więc ograniczyli jej racje do jednego kubka wydawanego raz dziennie o zachodzie słońca. Warzywa skończyły się po tygodniu, a suszone mięso, pełne robactwa, stało się tylko wspomnieniem. Z powodu braku miejsca w ładowniach nie zabrano więcej zapasów. Jeśli Bóg nie ześle im lądu, na pokładzie pozostaną tylko duchy, żeglujące ku zaświatom.

Ale wszystkie te troski przestały mieć znaczenie kilka godzin temu.

– Bracie Joanie!

Mnich uniósł powieki i tuż przed sobą zobaczył twarz bosmana. Mężczyzna był przemoczony do suchej nitki, a słona woda spływała po jego policzkach jak pot. Nachylił się tak blisko, że niemal zetknęli się czołami, i przekrzykując huragan, wrzasnął:

– Zejdźcie pod pokład! Tu jest piekielnie niebezpiecznie!

Joan stanowczo pokręcił głową, odmawiając wykonania polecenia. Bosman zaklął cicho, rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie, wzruszył ramionami i odwrócił się, by stawić czoła nadciągającej fali.

Joan Calabona usiadł ciężko na śliskim od wody pokładzie. Objął ramieniem jeden ze słupków relingu i złożył dłonie do modlitwy. To nie było ani odpowiednie miejsce, ani czas, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek czuł, że musi zwrócić się do Boga.

Nagle zdał sobie sprawę, że pierścień, zdobyty za cenę wielkiego poświęcenia, niebezpiecznie luźno obraca się na jego palcu. Mężczyzna był wychudzony i wyczerpany, przez co prawie nie przypominał człowieka sprzed zaledwie paru tygodni. Codziennie rano musiał przewiązywać spodnie kawałkiem sznurka, a puste spojrzenia towarzyszyłyko pogłębiały poczucie beznadziei.

Perspektywa utraty pierścienia – symbolu ostatniej nadziei zakonu – przeraziła go bardziej niż sam sztorm. Ostrożnie rozwiązał rzemień i wsunął klejnot do małej, skórzanej sakiewki zawieszanej na szyi. To przez niego – i przez niezbadane wyroki Opatrzności – znalazł się właśnie tutaj. W samym środku huraganu, w tę listopadową noc. Modlił się o ocalenie – i swojego życia, i duszy.

Zacisnął powieki, próbując odciąć się od szalejącego wokół żywiołu. Modlił się – za siebie i za tych, którzy walczyli o przetrwanie pośród rozszalałego piekła wody oraz wiatru.

I wtedy usłyszał – a raczej poczuł całym ciałem – trzask pękającego pod stopami drewna. Zrozumiał, że solidna koga, zbudowana specjalnie, by przetrwać najdziksze sztormy Morza Północnego, wydaje właśnie swoje ostatnie tchnienie. Statek konał. Śmiertelnie uszkodzonej jednostce nigdy już nie będzie dane dotrzeć do celu podróży.

Gdy tylko wynurzyłem głowę z wody, wciąż z regulatorem w ustach, usłyszałem Jacka. Wisiał nad dziobem jachtu, kurczowo ściskając naprężoną linę kotwiczną obiema rękami.

– Ulisesie! Kotwica znów się zaklinowała! Zejdź i ją uwolnij!

– Znowu? Daj spokój...

Westchnąłem ciężko, poprawiłem regulator, nacisnąłem zawór kamizelki i ponownie zanurzyłem się w ciepłej wodzie, z której dopiero co wyszedłem.

– Cholera jasna – mruknąłem przez zaciśnięte zęby. – To się źle skończy.

Cała dekompresja poszła się bujać, bo przez tę przeklętą kotwicę znów muszę nurkować i zaraz wracać. Nigdy w życiu nie widziałem kotwicy, która wciąż uparcie robi takie numery. Codziennie to samo. Przysięgam, jeszcze dziś pogadam z Jackiem: albo kotwica, albo ja. Na tej łajbie nie ma miejsca dla nas obu.

Rozejrzałem się. Lina ciągnęła się napięta jak struna – od zacienionej burty „Martini’s Law” aż do rafy dziewięć metrów niżej. Ustawiłem się głową w dół i ruszyłem zdecydowanie ku miejscu, gdzie majaczył koniec sznura. Chciałem mieć to za sobą. I to szybko.

Po chwili byłem już przy kotwicy, zawieszanej nad zwartym skupiskiem rafy koralowej. Światło tropikalnego popołudnia, choć nieco przytłumione przez morskie głębiny, odsłaniało rafę w całej jej okazałości – była to feeria kształtów i kolorów, której nie dorównałaby żadna ludzka wyobraźnia. Intensywnie czerwone, żółte, białe i fioletowe polipy tworzyły fantastyczne formy.

Wszędzie wokół roilo się od niezliczonych maleńkich rybek, a ich elektryczny błękit wydawał się całkowicie nierealny. Nerwowa ławica krążyła

chaotycznie we wszystkich kierunkach, ignorując większe stworzenia leniwie przepływające przez rafę. Nieco z boku dryfowała samotna, imponujących rozmiarów barrakuda, patrolująca otoczenie niczym doglądający swoich pastwisk ranczer. Z typową dla tego gatunku ciekawością zerkala na mnie kątem oka, udając, że owo spotkanie wcale jej nie interesuje.

Kiedy zauważyłem, że jedno z trzech ramion tej przeklętej kotwicy utkwiło w niewytłumaczalny sposób w bryle koralowca, z moich ust wyrwał się gejzer bąbelków cenzurujący soczyste przekleństwo. Szarpnąłem linę z całych sił, ale w tumanach piasku i unoszących się wokół pęcherzyków powietrza nie mogłem dostrzec, w jaki sposób doszło do zaklinowania i czemu kotwica nie chciała się wyswobodzić.

Przerwałem na moment, żeby sprawdzić zapas powietrza po czterdziestu pięciu minutach oprowadzania klientów i tym dodatkowym, nieplanowanym nurkowaniu. Manometr wskazywał około sześćdziesięciu atmosfer. Szybko obliczyłem, że na tej głębokości mam maksymalnie trzy minuty, zanim urządzenie wskaże poziom, przy którym powinienem rozpocząć wynurzenie.

Zniecierpliwiony wyciągnąłem nóż z pochwy na łydce – byłem gotów poświęcić całą rafę, byle tylko wydobyć to przeklęte żelastwo. Wbiłem ostrze w koral otulający kotwicę. Mimo rozdrażnienia zaskoczyła mnie zarówno jego twardość, jak i kształt. Wyglądał jak pierścień, w którego otwór, szeroki na kilka centymetrów, idealnie wpasowało się ramię kotwicy. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnego tworu i szczerze żałowałem, że muszę go niszczyć, aby uwolnić znenawidzoną kotwicę. Nie miałem jednak wyboru. Zacząłem uderzać w koralowiec raz po raz, z całą siłą, na jaką mogłem sobie pozwolić pod wodą.

Co do diabła...? – pomyślałem ze zdziwieniem i irytacją, gdy nóż, zamiast rozłupać koral, odbił się od jego powierzchni.

Zamiast struktury koralowca ujrzałem twardą, zielonkawą powłokę. I wtedy wreszcie zrozumiałem – przeklęta kotwica nie utkwiła w rafie, lecz zahaczyła o stary, zardzewiały żelazny pierścień pokryty grubą warstwą koralu.

Potrzebowałem kilku sekund, by zdać sobie sprawę z tego, co właśnie odkryłem. Nie miałem już wątpliwości: natrafiłem na przedmiot wykonany ludzką ręką, od lat ukryty głęboko pod wodą.

Może to coś naprawdę cennego? – przemknęło mi przez głowę.

Wtedy przypomniałem sobie o zapasie powietrza. Miałem zaledwie trzy minuty, a nad sobą dziewięć metrów wody. Rzuciłem okiem na manometr – jego wskazówka znalazła się już w czerwonej strefie. Musiałem się pospieszyć.

Gdybym wrócił na powierzchnię, nie uwolniwszy kotwicy, Jack urządziłby mi awanturę, a następnie sam zanurkowałby i odkrył tajemniczą żelazną obręcz. Nawet gdyby udało mi się odczepić przyrząd, i tak musiałbym wrócić następnego dnia, aby dokładniej zbadać znalezisko. Wtedy byłbym zmuszony do wyjaśnienia Jackowi, co planuję, aby zgodził się ponownie zabrać mnie łodzią w tamto miejsce.

Spojrzałem na obręcz, kotwicę, naprężoną linę, a na końcu na nóż, który trzymałem w prawej dłoni. Na twarzy, pod maską do nurkowania, mimowolnie pojawił się złośliwy uśmiech.

– Wybacz, Jack, ale naprawdę nie miałem innego wyjścia. Kończyło mi się powietrze – wyjaśniłem na pokładzie, trzymając w dłoni odcięty koniec kotwicznej liny i starając się ukryć satysfakcję. – Nie martw się, jutro rano podpłyniemy tu na chwilę, a ja sam po nią zanurkuję. Doskonale wiem, gdzie leży.

– Lepiej, żeby tak było – odparł Jack, krzyżując ręce na piersi, wyraźnie rozeźlony faktem, że jego kotwica warta tysiąc dolarów nie wróciła na pokład.

Następnego dnia, gdy tylko zaczęło świtać, czekałem niecierpliwie na pokładzie jachtu zacumowanego przy nabrzeżu Utili. Chłodna bryza karaibskiego poranka w północnym Hondurasie wcale mi nie przeszkadzała. Obok butli z powietrzem ukryłem torbę z młotkiem i dłutem, szybko przykrywając ją ręcznikiem. Kiedy pojawił się zaspany, ziewający co chwilę Jack, wymieniliśmy kilka zdawkowych zdań na powitanie i natychmiast odbiliśmy od brzegu.

Ignorując wszelkie zasady bezpiecznego nurkowania, zanurzyłem się samotnie w poszukiwaniu kotwicy, podczas gdy mój szef próbował odespać kaca po wczorajszej imprezie. Bez trudu odnalazłem miejsce, w którym zostawiłem stalowy przyrząd, i nie tracąc czasu, zacząłem uderzać dłutem w rafę, aby odsłonić to, co kryło się pod chropowatą

powierzchnią koralowca. Wysilek był znaczny, ale po uwolnieniu kotwicy dostrzegłem, że żelazna obręcz stanowiła część większego, kulistego przedmiotu. Im więcej koralowca odłupywałem, tym bardziej przedmiot się poszerzał i wydłużał. W końcu, po kolejnym mocnym uderzeniu, oderwał się od rafy i ukazał w całości. Ku mojemu zdumieniu miał około trzydziestu centymetrów wysokości i nieco mniej szerokości, a jego kształt jednoznacznie przypominał dzwon.

Zdenerwowany jak wtedy, gdy jako dwunastolatek ukradłem batonik ze sklepu, schowałem znalezisko do siatkowej torby, którą wcześniej wsunąłem do kieszeni kamizelki. Następnie, lekko dopompowując kamizelkę wypornościową, aby zrównoważyć dodatkowy ciężar, ostrożnie wynurzyłem się przy rufie. Upewniwszy się, że Jacka nie ma w pobliżu, przywiązałem torbę pod wodą do drabinki na rufie i ponownie zanurkowałem. Tym razem naprawdę zająłem się kotwicą. Przymocowałem ją do worka wypornościowego, który napełniłem powietrzem. Worek natychmiast wystrzelił ku powierzchni, wyłaniając się spod wody niczym gigantyczna czerwona meduza z problemami gastrycznymi.

Minutę później wynurzyłem się przy dziobie łodzi, krzycząc wniebogłosy, w pełni świadom stanu, w jakim znajdował się mój szef.

– Jack! Rusz się wreszcie! Pomóż mi, do cholery, to przecież twoja kotwica!

– Nie drzyj się tak, słyszę cię doskonale – burknął, mrużąc zaczerwienione oczy i wychylając się przez burtę.

Podciągnąłem worek do drabinki i pomogłem Jackowi wciągnąć kotwicę na pokład. Hałas, który przy tym robiłem, był tak duży, że nawet gdyby przy łodzi kołysał się przymocowany do niej fortepian, skacowany Jack i tak by tego nie zauważył.

Gdy tylko wszedłem na pokład, Jack odpalił silniki i z pełną prędkością ruszył w stronę przystani. Wykorzystałem ten moment, aby odzyskać mój mały skarb i ukryć go w schowku na narzędzia.

Siedząc na dziobie, czułem na twarzy ciepły wiatr o słonawym posmaku. Byłem zadowolony, że udało mi się zdobyć znalezisko bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Z satysfakcją wspominałem swoją przebiegłą intrygę – to ja namówiłem Jacka na solidne picie poprzedniego wieczoru, doskonale wiedząc, w jakim stanie obudzi

się rano ten potężny Kalifornijczyk, który zatrudnił mnie osiem miesięcy temu.

Gdy zbliżaliśmy się do wyspy, zza wysokich palm kokosowych zaczęły wyłaniać się zardzewiałe dachy drewnianych, pomalowanych na pastelowe kolory, domków, które tak bardzo lubilem. Na wielu z nich powiewała czerwona flaga z białym pasem, oznaczająca centra nurkowe. Nurkowanie stało się główną działalnością gospodarczą tej niewielkiej wyspy zamieszkaney przez rybaków Garifuna.

Dziesięć lat temu, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, na Utili były zaledwie dwa centra nurkowe, jedna ulica, bar, kawiarnia, prymitywna dyskoteka oraz jeden samochód, który i tak nie miał dokąd jeździć. Dziś jednak, odkąd rozeszła się wieść, że wyspę otacza największa rafa koralowa na półkuli zachodniej, tysiące nurków z całego świata zaczęło przybywać tu regularnie co roku. Choć dzięki temu mogłem pracować jako instruktor nurkowania w tym iście rajskim zakątku świata, w głębi duszy tęskniłem za dawnym spokojem, który utraciłem na rzecz wątpliwego dobrobytu.

Po zacumowaniu natychmiast przystąpiłem do znoszenia sprzętu z jachtu. Gdy tylko zostałem sam na pomoście, wyciągnąłem torbę z ukrycia, z udawaną obojętnością zarzuciłem ją na ramię i zaniósłem do wynajmowanego bungalowu. Tam ostrożnie wyjąłem znalezisko z siatki i po raz pierwszy przyjrzałem się mu w świetle dziennym.

Nieliczne widoczne fragmenty metalu miały zielonkawy odcień, a resztę pokrywała biała warstwa koralowca. Choć zniekształcała ona sylwetkę przedmiotu, nie pozostawiała wątpliwości, że był to jakiś rodzaj dzwonu. Zastanawiałem się, w jaki sposób znalazł się wrośnięty w rafę koralową na środku Karaibów – i przyznać musiałem, że była to zagadka nie do rozwiązania.

Osiem miesięcy może nie wydawać się długim okresem, ale ja rzadko spędzałem tyle czasu w jednym miejscu. Od kilku lat wędrowałem po świecie, najczęściej pracując jako instruktor nurkowania, choć w razie potrzeby nie stroniłem od żadnej pracy. W wieku, w którym większość ludzi ma już dom, samochód, żonę i dwoje dzieci, ja wciąż nie zapuściłem korzeni.

Podróżowanie pokochałem jako dzieciak i od tamtej pory nie potrafiłem wyobrazić sobie innego życia. Oczywiście czasem nachodziły

mnie wątpliwości i zastanawiałem się wówczas, czy to wszystko ma sens. Wystarczyło jednak, że szedłem na plażę, wdychałem zapach morza, słuchałem szumu fal i patrzyłem na żółtawe liście palm połyskujące w tropikalnym słońcu. Ta scena powtarzała się w różnych miejscach – na Karaibach, nad Morzem Czerwonym, na Zanzibarze czy w Tajlandii – ale zawsze dochodziłem do tego samego wniosku: nie zamieniłbym życia pełnego piękna i emocji na żaden dom z ogródkiem i psem.

Utiła zaczynała mnie nudzić, więc od kilku dni rozważałem zmianę otoczenia. Sezon nurkowy zbliżał się ku końcowi, co oznaczało, że moje odejście nie zaszkodziłoby zbyt wiele Jackowi. Atmosfera w centrum nurkowym stawała się coraz bardziej napięta, prawdopodobnie z powodu malejącej liczby klientów. Bez większych wahań podjąłem decyzję o powrocie do rodzinnej Barcelony, gdzie planowałem odwiedzić przyjaciół i rodzinę, a także dowiedzieć się więcej o moim intrygującym znalezisku.

Spakowałem swój skromny dobytek do plecaka, ostrożnie owijając ciężki dzwon w ubranie. Wiedziałem, że przy odprawie będę musiał zapłacić liniom lotniczym za nadbagaż, a jeśli celnicy przyłapią mnie na przemyśle zabytku archeologicznego, mogę spędzić dłuższy czas, korzystając z osławionej gościnności honduraskich więzień. Nie zamierzałem jednak rezygnować z moich planów.

Nie miałem pojęcia, że ta decyzja na zawsze odmieni moje życie, wciągając mnie w niespodziewany wir przygód i niebezpieczeństw.

Tydzień później wylądowałem na lotnisku El Prat i poprosiłem taksówkarza, by wysadził mnie przed moim skromnym, odziedziczonym po babci mieszkaniem przy ulicy París, w sercu barcelońskiej dzielnicy Eixample. Ten niewielki apartament na poddaszu miał duże okna i taras, na którym stały dwa wypłowiałe od słońca plastikowe leżaki. Składał się z jednej sypialni, łazienki, salonu oraz dość „kameralnej” – mówiąc delikatnie – kuchni. Całość wyglądała tak, jakby została zaprojektowana z myślą o mojej drobnej, nieżyjącej już babci. Nic dziwnego, że ja, mierząc ponad metr osiemdziesiąt, nigdy nie czułem się tam całkiem swobodnie. Był to jednak mój własny kąt, zapisany na moje nazwisko, więc w obecnych czasach mogłem uważać się za szczęściarza.

Zostawiłem plecak w salonie i, nie zapalając światła, ruszyłem w kierunku lodówki. Dopiero gdy ją otworzyłem, uświadomiłem sobie, że nie mam prądu, wody, gazu ani jedzenia. Westchnąłem z rezygnacją, zamykając drzwiczki, po czym powlokłem się do sypialni, gdzie padłem na łóżko, pokonany przez zmęczenie, jet lag i niewygodne fotele klasy ekonomicznej.

Obudziłem się kilka godzin później, gdy mój wewnętrzny zegar wskazywał dziesiątą rano, a słońce właśnie chowało się za dachami, zwiastując nadejście nocy. Wpatrując się w czerwone światło wpadające przez okno, dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy wziąć prysznic, czy zejść na dół do chińskiej knajpy. Wtedy przypomniałem sobie, że nie mam wody, a mój zołudek głośnym burczeniem rozwał wszelkie wątpliwości.

Pochłaniając makaron, układałem w głowie plan na następny dzień. Musiałem odwiedzić matkę – zarówno po to, by po prostu się przywitać, jak i po to, by skorzystać z jej prysznicza.

Po krótkim spacerze w celu rozprostowania nóg, wróciłem do domu, przeczytałem kilka stron książki o poszukiwaczach skarbów, której od dawna nie mogłem skończyć, połknąłem dwa środki nasenne i zasnąłem, śniąc o piratach i zatopionych dzwonicach.

– Ulisiesie! Kiedy przyjechałeś? Czemu nie dałeś znać? Odebrałabym cię z lotniska! No, wejdź, synu, nie stój w drzwiach! Ależ się opaliłeś! – wyrzuciła z siebie jednym tchem kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat, ubrana w jaskrawą sukienkę, z kasztanowymi włosami rozjaśnionymi blond pasemkami i okularami z grubą, czarną oprawką w stylu sekretarki.

– Cześć, mamu. Cieszę się, że cię widzę – wtrąciłem, gdy wreszcie udało mi się dojść do głosu, i serdecznie ją przytuliłem. – Jak się tu sprawy mają?

– A dobrze, jak zawsze. Ale gdybym umarła, nawet byś się nie dowiedział. Nie dzwoniłeś od prawie trzech miesięcy!

– Wybacz, wiesz przecież, że nie przepadam za telefonami. Poza tym – dodałem żartobliwie – spotykam się tylko z kobietami w moim wieku. Muszę dbać o reputację.

– Co za syn mi się trafił! Wiedziałaś, że powinnam była adoptować tamtego sympatycznego Chińczyka.

– Pewnie zjadłby ci psa.

– Może i tak, ale przynajmniej zadzwoniłby czasem zapytać, jak się czuję.

Po tym początkowym przesłuchaniu, w czasie gdy mama przygotowywała dla mnie ogromną tortillę z ziemniaków, skorzystałem z okazji, by wziąć prysznic. Zawsze miło było wracać do domu po długim pobycie za granicą. Nic nie koło mnie tak skutecznie jak znajome zapachy i obrazy z dzieciństwa, które dawały poczucie bezpieczeństwa.

– Widzę, że nadal malujesz – rzuciłem głośno, oglądając dzieła pokrywające wszystkie ściany mieszkania.

– Tak, nawet planujemy z koleżankami wystawę – odparła dumnie z kuchni.

– Wystawę? Czego?

– Śmieję się, śmieję. Jak sprzedam obraz, pomacham ci czekiem przed nosem.

– Cieszę się, mamó. Naprawdę, aż się uśmiecham.
– Jeszcze chwila, a zostaniesz bez tortilli.
– Dobra, poddaję się. Kiedy ta wystawa?
– Jeszcze nie ustaliłyśmy dokładnej daty, ale pewnie za miesiąc.
– Życzę powodzenia... – obawiając się, że zostanie bez obiadu, dodałem szybko – choć oczywiście wcale go nie potrzebujesz.

Po krótkim podsumowaniu ostatnich miesięcy spędzonych na Utili – z premedytacją pomijając incydent ze znaleziskiem – oraz po zjedzeniu pysznego omletu, nadszedł czas na „prawdziwą” rozmowę z moją matką. Zaczęła mnie zasypywać plotkami o sobie i swoich przyjaciółkach, skupiając się na najbardziej pikantnych szczegółach z życia tych, które wciąż tkwiły w związkach małżeńskich. Brzmiało to jak relacja z tajnego stowarzyszenia wdów i rozwódek, które starały się przekonać „jeszcze zniewolone” kobiety do radosnego życia singielek.

Po niemal godzinie słuchania – bardziej z uprzejmości niż z prawdziwego zainteresowania – tych rewelacji, zostawiłem jej torbę na śmieci, wypełnioną moimi brudnymi ubraniami do prania. Pożegnałem się dwoma całusami, tłumacząc, że mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, i obiecałem, że wrócę następnego dnia, aby wysłuchać więcej szczegółów historii rozvodu jej przyjaciółki Loli oraz odebrać świeże ubranie.

Już miałem wychodzić, gdy przypomniałem sobie o czymś istotnym i wychyliłem głowę zza drzwi.

– Mamó, masz może numer do profesora Castilla?
– Do niego? A po co ci? – zapytała, a uśmiech na jej twarzy zastąpił grymas, jakby poczuła zapach zgniłego jajka.
– Muszę go o coś zapytać.
– Nie wiem, co możesz chcieć od tego starego dziwaka, chyba że chodzi o kurz i pajęczyny.
– Proszę, mamó, to ważne.
– Poszukam gdzieś w śmieciach, bo tam pewnie leży – rzuciła niechętnie, machając ręką.
– Dziękuję, mamó. Do jutra – powiedziałem, zamykając za sobą drzwi.
Zbyt późno przypomniałem sobie o niechęci matki do profesora Castilla. Była przekonana, że obsesja mojego ojca na punkcie

archeologicznych mitów narodziła się właśnie przez jego przyjaźń z tym człowiekiem, którego obwiniała o zaszczepienie mu wszelkich szaleństw. W mojej pamięci obraz taty nierozzerwalnie łączył się z profesorem. Miałem więcej wspomnień ojca uśmiechniętego w jego towarzystwie niż obok matki.

Resztę dnia poświęciłem na doprowadzenie poddasza do stanu używalności. Wieczorem, przy blasku świec, wyjąłem znalezisko z miski z amoniakiem, w której umieściłem je zaraz po przyjeździe. Ostrożnie, posługując się dłutem i szczotką, zacząłem usuwać z metalu skorupę martwego koralowca, która po kąpieli w tej substancji odchodziła zaskakująco łatwo.

Warstwa po warstwie, metodycznie i uparcie, usuwałem kolejne fragmenty. Nad ranem dzwon wreszcie był niemal całkowicie oczyszczony z osadów – choć wciąż pokrywała go miejscami zielonkawa skorupa. Nie byłem pewien, czy powinienem się jej pozbywać. Przedmiot, który bez wątpienia okazał się dzwonem, miał na swojej powierzchni dwie biegnące dookoła linie, a między nimi znajdowały się jakieś symbole lub rysunki – zbyt zatarte, bym mógł im się dokładnie przyjrzeć o tej porze. Zmęczony, postanowiłem zostawić dalsze badania na następny dzień.

Zanim zgasilem świece, spojrzałem po raz ostatni na dzwon. W migoczącym świetle wyglądał tak, jakby szeptał tajemniczą historię, której jeszcze nie potrafiłem zrozumieć.

Następnego dnia po południu miałem już prąd i wodę, a nawet kontakt do profesora Castilla, który mama podała mi z wyraźną niechęcią. Zszedłem do budki na rogu i wykręciłem numer.

– Halo, czy to profesor Castillo?

– Tak, słucham – odpowiedział zdecydowany głos.

– Tu Ulises Vidal.

– Ulises? – odparł z przesadnym zdziwieniem.

– We własnej osobie. Jak się pan miewa, profesorze?

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze! – odpowiedział entuzjastycznie. – A ty? Dawno nie miałem od ciebie żadnych wieści! Jesteś w Barcelonie?

– Tak, wróciłem kilka dni temu. Chciałbym się z panem spotkać... jeśli to możliwe.

– Oczywiście, chłopcze, oczywiście! Kiedy chcesz?

– Może jutro?

– Dobrze, ale po południu. Chcesz wpaść do mnie?

– Wolałbym raczej zaprosić pana do siebie. Mam coś, co chciałbym panu pokazać.

– Co takiego?

– Sam nie wiem, dlatego chciałbym, żeby pan to zobaczył.

– Nadal mieszkasz w mieszkaniu po babci?

– Tak, na razie tak. Czy pasuje panu szósta?

– Zgoda – potwierdził, po czym dodał z namysłem: – To musi być coś bardzo starego.

– Proszę?

– Cokolwiek chcesz mi pokazać, skoro potrzebujesz opinii nudnego emerytowanego profesora historii średniowiecza, to musi mieć to wiele lat.

Reszta moich telefonów tego dnia okazała się serią daremnych prób umówienia się z dawnymi znajomymi. „Za dużo pracy w biurze” i „muszę oddać auto do warsztatu, ten tydzień jest tragiczny” – to były najczęstsze wymówki. Nie mogłem mieć im tego za złe – wszyscy byli już żonaci, z masą zobowiązań i kredytami na trzydzieści lat. To był jeden z tych momentów, kiedy samotność dopadała mnie szczególnie mocno. Miałem przyjaciół, z którymi coraz mniej mnie łączyło i coraz bardziej oddalałem się od świata, do którego – jak czułem – nigdy naprawdę nie pasowałem. Jakby inni wiedzieli coś, czego nikt mi nie powiedział, a co było niezbędne, by poczuć się częścią całości.

Ale co zrobić? Jeśli nie masz obsesji na punkcie rodziny, nie zależy ci na majątku ani na uznaniu innych, wiele spraw przestaje mieć sens. Być może, jak powiedziała mi kiedyś pewna kobieta, utknąłem mentalnie w wieku dwudziestu kilku lat i wciąż żyję marzeniami oraz chwilą obecną – dobrowolny więzień *carpe diem*.

Możliwe.

Ale prawda jest taka, że nie zamieniłbym swojego życia na żadne inne. Tamtej nocy dopadł mnie jednak nagły smutek. Dlatego też powlokłem się do El Náufrafo, mojego ulubionego baru na starym mieście, żeby utopić zmartwienia w ginie. A może też po to, by znaleźć jakąś

deskę ratunku o pięknych kształtach, której mógłbym się chwycić w ten melancholijny, wrześnieowy wieczór.

Za każdym razem, gdy wracałem do Barcelony, jeszcze dotkliwiej czułem wyobcowanie w swoim własnym mieście. Ludzie wydawali się coraz bardziej zapatrzeni w siebie, ulice – zimniejsze, a dzieci – cichsze. Może dlatego zawsze szukałem schronienia w arabskich lub latynoskich dzielnicach, gdzie ludzie krzyczą do siebie przez ulicę, witają się serdecznie i patrzą ci w oczy, mijając na chodniku. Tam czułem się zdecydowanie bardziej jak u siebie – w kawiarence pełnej Algierczyków, zamiast w klimatyzowanym Starbucksie, choć po arabsku potrafię powiedzieć tylko „dzień dobry” i niewiele więcej. To pewnie skutek lat spędzonych w gościnnych krajach, gdzie byłem obcy, ale nigdy nie czułem się wyobcowany.

W drodze do baru zjadałem się jagnięcym kebabem, którym fascynowałem się podczas pobytu w Egipcie. Pośród uliczek wokół katedry rozbrzmiewały dźwięki gitary wygrywającej melodię „Entre dos aguas”, a ja zmierzałem powolnym krokiem na spotkanie z lady Blue Bombay Dry Gin.

Obudziłem się później niż zwykle, bardziej skacowany i bardziej samotny, niż bym sobie życzył. Dopiero zimny prysznic – innego nie było, bo nie zdążyłem zapłacić rachunku za gaz – postawił mnie na nogi. Wycierając się przed lustrem, zauważyłem, że mimo podkrążonych oczu wyglądam całkiem nieźle. Nie byłem przesadnie umięśniony, ale trzymałem formę; opalenizna już się utrwaliła, a, choć daleko mi było do Brada Pitta, doświadczenie nauczyło mnie, że dla pewnego typu kobiet jestem atrakcyjny. Dzięki temu mogłem się cieszyć ich towarzystwem, gdy brakowało mi mapy, po której mógłbym nawigować.

Jakiś czas później, stojąc przed kuchenną szafką, zastanawiałem się, czy zjeść śniadanie, czy może już obiad. W jednej ręce trzymałem słoik Nocilli, w drugiej puszkę fabady asturyjskiej – i nie potrafiłem się zdecydować, na co mam ochotę o tej dziwnej porze. Ostatecznie zwyciężyła słabość do słodkiego – chwilę później z zapalem rozsmarowywałem czekoladę na kromce chleba, pochylony nad stołem w salonie. Na jego środku stał zielonkawy dzwon, który zupełnie nie pasował do reszty

umeblowania. Sprawiał wrażenie, jakby zepchnął całe otoczenie na drugi plan – jakby wokół niego wszystko stało się banalne i przemijające.

Domofon zadzwieczał punktualnie, a dwie minuty później ktoś energicznie zapukał do drzwi. Ręka lekko mi drżała, gdy sięgałem po klamkę – minęło wiele lat, odkąd ostatni raz widziałem profesora. Nie rozmawialiśmy od czasu wypadku. Wczorajsza rozmowa telefoniczna trochę mnie uspokoiła, ale wciąż nie wiedziałem, jak zareaguje, gdy zobaczy mnie po tak długim czasie.

Wszelkie wątpliwości zniknęły jednak, gdy tylko otworzyłem drzwi.

Naprzeciwno mnie ujrzałem znajomą sylwetkę przyjaciela mojego ojca. Był nieco niższy i znacznie bardziej siwy, niż go zapamiętałem, ale poza tym wyglądał niemal tak samo jak dawniej: cofnięty podbródek, szczery uśmiech i ogromne, błękitne oczy za okularami w grubych, rógowych oprawkach. Byłem prawie pewien, że imponujące mięśnie, którymi się kiedyś chełpił, nadal kryją się pod jego nieodłączną koszulą w kratę i wełnianym swetrem.

– Ulisiesie! Jak dobrze cię znowu widzieć! – ryknął, obejmując mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Ja też się cieszę, profesorze – wydusiłem z trudem. – Jeśli jednak natychmiast mnie pan nie puści, to będzie to nasze ostatnie spotkanie.

Roześmiał się, ale uwolnił mnie dopiero po kilku sekundach. Gdy wreszcie rozluźnił uścisk, odsunął się o krok i zmierzył mnie od góry do dołu.

– Albo ty urosłeś, albo ja się skurczyłem – zauważył. – Jesteś wyższy.

– Co się stało z pana włosami? Pofarbował je pan na białe, żeby wyglądać poważniej? Jeśli tak, muszę pana zmartwić – to nie działa.

– Patrzcie na niego! I kto to mówi! Nie chcę wiedzieć, ile wydałeś na solarium, aby uzyskać taką opaleniznę. I założę się, że nadal nie udało ci się poderwać żadnej dziewczyny.

Obaj roześmialiśmy się, doceniając, że znów możemy sobie dogryzać, jakby od ostatniego spotkania podczas pogrzebu mojego ojca minęło nie więcej niż kilka tygodni, a nie prawie dekada.

Przeszliśmy do salonu, gdzie przez ponad godzinę nadrabialiśmy zaległości. Dowiedziałem się, że profesor, zmęczony nauczaniem, przeszedł na wcześniejszą emeryturę i teraz dzieli czas między siłownię

a pisanie – jak sam to określił – nudnej książki o ekspansji handlowej Korony Aragonii w XIV wieku. Nie wierzył, że kiedykolwiek uda mu się ją wydać, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie.

Ja opowiedziałem mu o krajach, które odwiedziłem, oraz o tym, czym się w nich zajmowałem. Gdy dotarłem do historii z Utili, wspomniałem krótko o moim znalezisku.

– Czy to to, co masz na stole? – spytał, wskazując na przedmiot przykryty czerwoną ściereczką.

Skinąłem głową potakująco.

– Ależ z ciebie teatralna dusza! – zaśmiał się. – No dobra, zobaczmy, co my tu mamy – dodał, zdejmując przykrycie. W tej samej chwili jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a uśmiech zniknął nagle z twarzy.

– Co pan o tym sądzi? – zapytałem, gdy minęła prawie minuta milczenia.

– To dzwon.

– Cieszę się, że pan tu jest. Byłem przekonany, że to klarnet.

– To dzwon – powtórzył, ignorując mój sarkazm. – Spiżowy dzwon.

– Zastanawiam się, jak spiżowy dzwon znalazł się na dnie Morza Karaibskiego. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek budował dzwonnice na rafach koralowych.

– Nie, to nie jest kościelny dzwon – powiedział cicho. – To dzwon okrętowy.

– Od kiedy statki mają dzwony?

– Dzisiaj już prawie żaden ich nie ma. Ale kiedyś każdy statek miał jeden na mostku – wyjaśnił, przesuwając palcami po powierzchni znaleziska. – Ten tutaj, sądząc po kształcie i nalocie, musi być bardzo stary. Chciałbym ustalić dokładnie jego wiek, ale może to być trudne.

– Może te napisy coś nam powiedzą – rzuciłem, wskazując palcem na dzwon.

– Napisy? Jakie napisy?

– Te tutaj, między dwoma pasami zdobień. Gdyby pan nie był taki ślepy, już dawno by je pan zauważył – zażartowałem.

Profesor Castillo pochylił się i zmrużył oczy.

– Rzeczywiście! Pozwól, że zabiorę go na uniwersytet. W ciągu kilku dni powinienem je rozszyfrować – powiedział z entuzjazmem, chwytając mnie za ramię.

– To nie będzie konieczne.
– Jak to nie? To nasz najlepszy trop, żeby ustalić jego pochodzenie!
– Nie będzie konieczne, bo już je rozszyfrowałem.
– Co takiego? Przecież ledwo widać, że w ogóle coś jest tam napisane!
– To proste – kartka i coś do pisania wystarczą – odparłem, rozba-
wiony jego konsternacją. Wyciągnąłem z kieszeni złożony na pół arkusz,
cały pokryty ołówkowymi śladami. Na środku wyraźnie widniały dwa
łacińskie słowa.

Profesor spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie ze mnie? – wyszeptał, czytając w kółko napis.

– Ani trochę, profesorze. Odbiłem to dziś rano, ale nie wiem, co to
znaczy. Sam pan wie, że moja znajomość łaciny to tragedia.

Castillo odwrócił się na krześle i długo patrzył na mnie znad okularów.

– Ulisesie, przysięgnij, że to nie jest jakiś głupi żart.

Zaskoczyła mnie jego reakcja. Po czole profesora spływały krople potu,
a usta lekko drżały. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie.

– Na tym dzwonie jest napisane: *MILITES TEMPLI*.

– No dobrze. I co z tego?

– To niemożliwe.

– Może i niemożliwe, ale sam pan widzi.

– Czy jesteś absolutnie pewien, że wydobyłeś go z rafy koralowej
u wybrzeży Hondurasu?

– Oczywiście, że jestem pewien! – zaczynała mnie już drażnić ta jego
nieustanna podejrzliwość. – Przecież ma pan dowód przed oczami! –
wskazałem obiema rękami na dzwon. – Nawet kawałki koralowca się
go trzymają!

Castillo spojrzał na mnie, jakbym właśnie ogłosił, że Ziemia jest płaska.

– Ulisesie, naprawdę tego nie rozumiesz?

– Nie, szczerze mówiąc, nie rozumiem. Skąd ten dramatyzm? Jakiś
stary statek poszedł na dno, a ja znalazłem jego dzwon. W tej okolicy
jest mnóstwo wraków. Może natrafię na coś więcej i w końcu przestanę
liczyć każdy grosz.

– Nie. To coś znacznie poważniejszego. Możliwe, że właśnie dokona-
łeś jednego z największych odkryć w historii.

Tym razem to ja zaniemówiłem.

- O czym pan mówi?
- *Milites Templi* to powszechna nazwa Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa – templariuszy.
- No dobra, czyli to wrak należący do templariuszy. I co z tego?
- Jak to „co z tego”?! – oburzył się profesor. – Czy ty w ogóle znasz historię?
- Wiem, kim byli templariusze! – odparłem lekko poirytowany. – Ale nie rozumiem, dlaczego tak pana dziwi, że mogli być właścicielami tego statku.
- Bo niezwykle nie jest k t o, tylko k i e d y.
- Zmarszczyłem czoło, kompletnie zbity z tropu.
- Ulisiesie, zakon templariuszy powstał w 1118 roku, by chronić pielgrzymów zmierzających do Ziemi Świętej i...
- Przepraszam, że przerywam – powiedziałem, unosząc rękę – ale czy możemy od razu przejść do sedna?
- Profesor zmrugał oczy, wyraźnie urażony, i przez chwilę milczał, zbierając myśli.
- W skrócie: templariusze zgromadzili ogromny majątek i wpływy, co skłoniło króla Francji Filipa IV oraz papieża Klemensa V do uknucia spisku mającego na celu przejęcie ich dóbr. Pod fałszywymi zarzutami herezji zakonników aresztowano, torturowano i mordowano. Wszystko zaczęło się w październiku 1307 roku – powiedział. – To był ich koniec. Najpotężniejszy zakon średniowiecza przestał istnieć. Raz na zawsze.
- Mężczyzna zakończył swą wypowiedź w tonie przypominającym mowę pogrzebową i skrzywił się, widząc, że jego wywód nie zrobił na mnie spodziewanego wrażenia.
- Ulisiesie, nalitość boską! Czy ty naprawdę tego nie widzisz? – zawołał, wznosząc ręce ku niebu. – Pamiętasz w ogóle, kiedy odkryto Amerykę?
- Oczywiście, że pamiętam! – odparłem, marszcząc brwi. – Dwunastego października tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego... Cholera jasna! To przecież niemożliwe!

3

Od ponad dziesięciu minut udawałem, że studiuję kartę dań, choć nie przeczytałem z niej ani słowa. Kiedy kelner – młody, uprzejmy Chińczyk – pojawił się przy naszym stoliku po raz drugi, wciąż nie wiedziałem, co zamówić.

– Czy panowie już wybrali? – zapytał z lekką nutą zniecierpliwienia.

– Tak, poproszę... kurczaka w sosie cytrynowym i wodę niegazowaną – odpowiedziałem na chybił trafił, wciąż trzymając otwarte menu, którego nawet nie zdążyłem przeczytać. – A pan, profesorze?

– Słucham? Co takiego? – Profesor Castillo spojrzał na mnie zaskoczony, odrywając wzrok od karty, którą od początku trzymał do góry nogami.

– Co pan zamawia na kolację? – zapytałem, dyskretnie wskazując brwiami na kelnera.

– Ach, tak. Poproszę sałatkę i wodę, dziękuję.

Obaj myślami byliśmy zupełnie gdzie indziej – dokładnie na siódmym piętrze budynku po drugiej stronie ulicy. Wyszliśmy na kolację, łudząc się, że pomoże nam to ochłonać po niespodziewanym odkryciu, ale napięcie wciąż ścisnęło nam żołądki. Od chwili, gdy opuściliśmy mieszkanie, prawie się do siebie nie odzywaliśmy, unikając nawet wymiany spojrzeń. W końcu zdobyłem się na odwagę, by przerwać milczenie i wrócić do tematu.

– A może ktoś w XVI lub XVII wieku znalazł ten dzwon i zamontował go na swoim okręcie? – zasugerowałem bez przekonania.

– Nie sądzę. Dzwon stanowił wizytówkę statku; nie montowano na nim pierwszego lepszego, znalezionego przypadkiem – odparł profesor, odrzucając tę możliwość machnięciem ręki.

– A jeśli ktoś odlał go dwieście lat później, kopiując tylko motto templariuszy? – nie dawałem za wygraną.

– Po co ktoś miałby to robić? Jak już ci mówiłem, zakon templariuszy rozwiązano po procesie, w którym oskarżono ich o kult diabła i sodomię. Myślisz, że ktoś ochrzciłby statek ich nazwą? To byłoby równie rozsądne, jak przebranie się dziś za Bin Ladena i uprawianie joggingu w Nowym Jorku.

– Dobrze, zgoda. Po prostu próbuję znaleźć luki w naszym rozumowaniu. Jeszcze niedawno mówił pan: „Niemożliwe, niemożliwe!”. Zanim zacznę tańczyć na stole, chcę mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Ja też cały czas o tym myślę, odkąd pokazałeś mi ten przekłety dzwon. Ale nie dostrzegam błędu w naszym rozumowaniu. Wręcz przeciwnie – im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem pewien, że moja analiza jest trafna.

– No dobrze, załóżmy więc, że mamy rację. Jakie są kolejne kroki w takiej sytuacji? Dzwonimy do gazet, na uniwersytet, do Księgi Rekordów Guinnessa?

– Na razie nie mówimy o tym nikomu. Mamy tylko zardzewiały dzwon i twoje słowo. Gdybyśmy teraz ogłosili to odkrycie, od razu uznano by nas za oszustów. W najlepszym wypadku, jeśli ktoś by nam uwierzył, zrobiłby wszystko, aby cała chwała przypadła jemu. Uwierź mi, nawet najbardziej szanowany naukowiec sprzedałby własną matkę za takie odkrycie.

– Więc co pan proponuje? Mamy siedzieć cicho?

– Dokładnie tak. Powinniśmy najpierw poszukać w archiwach informacji o templariuszach i ich umiejętnościach żeglarskich, a potem znaleźć dowody potwierdzające naszą teorię. Dopiero wtedy, gdy będziemy gotowi, przedstawimy nasze odkrycie w odpowiednich kręgach akademickich i zobaczymy, jak zareagują.

– Bardzo kuszące. Ale mam inny pomysł. Potrzebujemy więcej dowodów, prawda?

– Oczywiście.

– Więc dlaczego nie pojedziemy na Utilę i sami ich nie zdobędziemy?

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli nurkowanie i poszukiwania. Wiem dokładnie, gdzie znalazłem ten dzwon. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy tam wrócili i trochę poszperali. Sprawdźmy, co jeszcze kryje się w rafie.

– Żartujesz? Tak ważne wykopaliska archeologiczne nie polegają na „szperaniu”. Powinny być poprzedzone szczegółowym przygotowaniem dokumentacji i prowadzone pod ścisłym nadzorem wykwalifikowanych ekspertów. Mówię o kilku latach planowania i jeszcze dłuższej pracy w terenie.

– Rozumiem – powiedziałem, pocierając brodę. – A co z badaniami? Jeśli w ogóle do nich dojdzie, to chce je pan sam poprowadzić? Czy raczej obejrzeć w telewizji na Discovery Channel? Sam pan przyznał, że konkurencja w tej branży jest bezwzględna. Naprawdę sądzi pan, że pozwoliliby nam choćby pojawić się w napisach końcowych dokumentu?

– Cóż, rzeczywiście trudno byłoby uczestniczyć w przedsięwzięciu o takim znaczeniu – przyznał, spuszczając wzrok na talerz sałatki, którego pojawienia się nawet nie zauważyliśmy. – Prędzej czy później pewnie odsunęliby nas na bok.

– I to panu odpowiada?

– W końcu najważniejsze jest samo odkrycie, a nie dzięki komu zostało dokonane – powiedział bez przekonania. – Pewnie ci, którzy się tym zajmą, będą lepsi i lepiej przygotowani ode mnie.

– Naprawdę pan tak uważa?

– Nie. Właściwie to nie. Sam nie wiem – odparł po chwili z zaważaniem. – Ale tak czy inaczej, nie mamy ani środków, ani niezbędnych zezwoleń. Nawet gdybyśmy chcieli, nie moglibyśmy tego zrobić.

– My może nie, ale znam kogoś, kto je ma. A pozwolenia w Hondurasie... cóż, istnieje wiele sposobów, żeby je zdobyć.

– A kim jest ta osoba, która mogłaby nam pomóc?

– To Amerykanin, John Hutch. Poznałem go kilka lat temu, gdy szukałem pracy na Florydzie. Ma firmę Hutch Marine Explorations, specjalizującą się w poszukiwaniu i wydobywaniu wraków.

– Mówisz o łowcy skarbów? Nie chcesz współpracować z naukowcami, ale z łowcą skarbów już tak?

– Dokładnie. To poszukiwacz z doskonale wyposażonym statkiem do lokalizacji wraków, zespołem specjalistów od wydobywania i ponad dziesięcioletnim doświadczeniem. Jest bez wątpienia najlepszy w swojej branży, a współpraca z nim pozwoliłaby nam uniknąć mnóstwa formalności.

– I ufasz mu całkowicie?

– Oczywiście, że nie! Ale podpisalibyśmy umowę, aby upewnić się, że przypadnie nam nasza część chwały. Jedyne problem polega na tym – dodałem, skupiając wzrok na misecze pistacji – że łowcy skarbów kierują się jedną motywacją: pieniędzmi. Nie wiem, czy prestiż i sława wystarczą, żeby Hutch zainteresował się naszą małą przygodą. Musimy coś wymyślić, aby przekonać go, że pod rafą kryją się złoto i klejnoty. Na pewno potrafi pan stworzyć przekonującą historię, a pański dorobek naukowy i siwe włosy dodadzą jej wiarygodności.

Profesor lekko się uśmiechnął i z wyraźnym zadowoleniem oparł się wygodnie na krześle.

– Drogi Ulisesie, na szczęście nie będzie to konieczne.

– A można wiedzieć dlaczego? – zapytałem, zaskoczony jego pewnością siebie. – Ludzie tacy jak Hutch reagują jedynie na błysk złota.

– Nie będzie to konieczne, przyjacielu, ponieważ taka historia już istnieje.

– Jak to? Jaka historia?

– O złocie i klejnotach ukrytych pod rafą, we wraku statku templariuszy – odpowiedział z szerokim uśmiechem. – Czyżbyś nigdy nie słyszał o zaginionym skarbie templariuszy?

Poprzedniego wieczoru nie udało mi się wyciągnąć z profesora już nic więcej. Rozbudził moją ciekawość wzmianką o skarbie templariuszy, a potem zmienił temat rozmowy. „Jutro rano u mnie, bądź wcześniej” – to były jego ostatnie słowa w tej sprawie. Nic dziwnego, że nie zmrużyłem oka przez całą noc. Teraz, punktualnie o dziewiątej, stałem przed wejściem do jego kamienicy. Chciałem się choć trochę odegrać, więc od dobrych kilku minut bezlitośnie naciskałem przycisk domofonu.

– Ulises? – z domofonu w końcu dobiegł zniekształcony głos profesora.

– Tu serwis utylizacji emerytów – odpowiedziałem, udając poważny ton. – Otrzymałaliśmy zgłoszenie, że w pana mieszkaniu znajduje się jeden z nich.

– Dobra, już, wchodź na górę.

Rozległ się dźwięk brzęczyka. Z niemałym wysiłkiem pchnąłem i otworzyłem ciężką, kutą bramę, a następnie wszedłem do budynku.

W środku panowała ciemność i ponura atmosfera, typowa dla starych kamienic. Obok schodów znajdowała się portiernia, a na końcu korytarza tkwiła, jakby zawstydzona swoją staroświecką mechaniką, archaiczna winda, pogrążona w półmroku. Na pierwszy rzut oka raczej nie zachęcała do użycia.

Mimo to zebrałem się na odwagę i wszedłem. Numery pięter dawno się starły, więc metodą prób i błędów nacisnąłem przycisk, który – jak miałem nadzieję – zawiezie mnie na piąte piętro. Niestety, pomyliłem się – w budynku znajdował się wysoki parter. Pokonałem pieszko dodatkowy odcinek schodów i stanąłem przed odrapanymi drewnianymi drzwiami z tabliczką: Profesor Eduardo Castillo Mérida. Zapłaciłbym wiele, żeby zobaczyć właściciela tej tabliczki w szlafroku, zlorzeczącego

po aramejsku za brutalną pobudkę. Niestety, gdy otworzył drzwi, musiałem przyznać w duchu, że wygląda zaskakująco świeżo.

– Ale masz wory pod oczami! Nie wyspałeś się? – zapytał złośliwie, doskonale wiedząc, dlaczego nie zmrużyłem oka.

– Nie, to mój codzienny makijaż.

Bez dalszych wstępów przeszliśmy do salonu. Uświadomiłem sobie, że nigdy wcześniej nie byłem w jego mieszkaniu. On odwiedzał moich rodziców niezliczoną ilość razy, był nawet u mnie, ale ja nigdy nie złożyłem mu wizyty. Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak można sobie wyobrazić mieszkanie samotnego, emerytowanego profesora historii średniowiecza. Staromodne meble, tapety pamiętające czasy, gdy telewizja jeszcze nie nadawała w kolorze, a także wyjątkowo szpetna lampa zwisająca z wysokiego sufitu. Przede wszystkim jednak mieszkanie było zagracone książkami, które stały na półkach sięgających sufitu, w witrynach, na krzesłach, stole i podłodze. Książki. Wszędzie książki – duże, małe, stare, nowe. Dominowały klasyczne woluminy w twardych oprawach, zszywane i pachnące starym papierem. Jego zapach zdawał się mówić więcej niż zapisane na nim słowa. Naprzeciwko mnie na ścianie wisiała oprawiona w elegancką ramę ogromna mapa świata. Zaskoczyło mnie to, bo do tej pory sądziłem, że profesor prawie nie podróżował.

– Napij się czegoś? – zapytał, wskazując na fotel.

– Nie, dziękuję. Tuż przed wyjściem zjadłem śniadanie.

– W porządku, w takim razie przejdźmy do rzeczy – powiedział, siadając naprzeciw mnie. – Miałem ci opowiedzieć legendę o skarbie templariuszy, prawda? Może zacznę od krótkiego wstępu?

– Chyba nie mam innego wyjścia...

– Spokojnie, to nie będzie bolało. – Oparł łokieć na poręczach fotela i splótł dłonie. – Jak wspomniałem wczoraj, Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa założył w 1118 roku francuski rycerz Hugo de Payens. Przyświecała mu chwalebna idea ochrony chrześcijańskich pielgrzymów przed bandami niewiernych rozbójników, grasujących na drogach do Jerozolimy. Był to zakon monastyczno-rycerski – mnisi, zamiast przepisywać manuskrypty czy uprawiać sałatę, jeździli konno i walczyli mieczem w imię wiary. W tamtych czasach była to nowość, która zapewniła im

bezwarunkowe poparcie Kościoła i przyniosła sławę, rosnącą nieprzerwanie przez kolejne dwa stulecia.

– Chwileczkę, profesorze – przerwałem mu. – Skoro byli mnichami, jak mogli nosić broń i mordować? Czy w Biblii nie mówi się o zakazie zabijania i podobnych sprawach?

– Masz całkowitą rację. Poparcie papieża dla zakonu przysporzyło niemało kłopotów ówczesnym teologom, którzy musieli uzasadnić, dlaczego grupa zakonników biega po Judei, podrzynając gardła niewiernym. Jednak Kościół, doświadczony w takich kwestiach, rozwiązał ten problem, wydając encyklikę „De laudibus novae militiae”, która tłumaczyła, że choć ideałem jest unikanie rozlewu ludzkiej krwi, nawet tej należącej do niewiernych, to w sytuacji braku innego sposobu obrony walka w imię Chrystusa nie jest grzechem. Najbardziej zaskakujący jest jednak fakt, jak wielką sławę zakon zdobył w ciągu pierwszych dziesięciu lat istnienia, mimo że w tym okresie składał się zaledwie z dziewięciu mnichów.

– Tylko dziewięciu?

– Tak, a ci na dodatek rzadko opuszczali mury miasta. Po złożeniu ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa przed królem Jerozolimy Baldwinem II otrzymali pozwolenie na założenie kwatery głównej na Wzgórzu Świątynnym, na ruinach dawnej Świątyni Salomona. Tam spędzali większość czasu, stąd ich powszechnie przyjęta nazwa – templariusze. Jak wspominałem, w pierwszych latach istnienia niewiele służyli pielgrzymom, za to, według ówczesnych plotek, prowadzili intensywne poszukiwania archeologiczne w podziemiach dawnej świątyni żydowskiej, gdzie według legendy ukryto najważniejsze relikwie Izraelitów: złoty siedmioramienny świecznik – Menorę, Stół Salomona oraz słynną Arkę Przymierza.

– Znaleźli je? – spytałem, pochylając się z zaciekawieniem.

– Tego nikt nie może stwierdzić z bezwzględną pewnością. Jak mówiłem, to tylko plotki i legendy. Interesujący jest jednak fakt, że kilka lat później Hugo de Payens wraz z kilkoma rycerzami odbył tajną podróż do Paryża, przewożąc ze sobą dużą, tajemniczą skrzynię. Od tego momentu rozpoczął się okres, który dzisiaj nazwalibyśmy prawdziwym boorem. Zakon szybko stał się najpotężniejszą instytucją średniowiecza, przewyższającą bogactwem i wpływami wszystkie państwa Europy.

– Ale jak to możliwe, że grupa dziewięciu mnichów, którzy złożyli śluby ubóstwa, mogła stać się taką potęgą? Nie rozumiem.

– To część tajemnicy templariuszy. Są tacy, którzy twierdzą, że jedynym miejscem, gdzie mogli zdobyć tyle złota i srebra, była Ameryka.

– Czyli to prawda! Mamy dowód!

– Nie tak szybko, kowboju – powiedział, unosząc dłoń. – To nie jest żadne potwierdzenie. Twój dzwon sugeruje, że templariusze mogli dotrzeć do wybrzeży Ameryki, ale to jeszcze nie dowodzi, że ich bogactwo pochodziło właśnie stamtąd. – Profesor zawiesił głos, robiąc krótką przerwę. – Poza tym, moim zdaniem, nie potrzebowali tego – zarabiali ogromne pieniądze, działając jako bankierzy na międzynarodową skalę.

– Ach, no tak. Prowadzili bank, a to wszystko wyjaśnia.

– To nie był dokładnie bank – sprostował profesor. – Dzięki darowiznom królów i szlachty zgromadzili wiele posiadłości oraz zamków w całej Europie. Wprowadzili weksle, które można było zrealizować w dowolnym miejscu znajdującym się pod ich kontrolą. Kupiec lub szlachcic, podróżując z Burgos do Mediolanu, nie musiał zabierać ze sobą pieniędzy, co wiązało się z ryzykiem napadu. Wpłacał je templariuszom, otrzymywał dokument, a na jego podstawie odbierał gotówkę na miejscu. W ten sposób zakon stał się potężną i wpływową międzynarodową korporacją finansową, udzielającą pożyczek nawet królom. Paradoksalnie to właśnie ta finansowa potęga doprowadziła do ich upadku.

– Proszę wyjaśnić – nalegałem, coraz bardziej zaniepokojony.

– W 1291 roku Akka, będąca ostatnim chrześcijańskim bastionem w Ziemi Świętej, padła łupem muzułmanów – zaczął. – Dla templariuszy był to cios, po którym zakon już nigdy się nie podniósł. Stracili swoją rację bytu jako obrońcy Świętego Miasta oraz pielgrzymów. Pozbawieni aury niezwyciężonych wojowników Chrystusa, szybko utracili również przychylność duchowieństwa i europejskiej szlachty. Z Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa pozostała jedynie nazwa, ponieważ jego członkowie od dawna nie pełnili już roli żołnierzy, a od pokoleń nie byli także ubodzy. Przez dwa wieki zgromadzili ogromne bogactwa, które wzbudzały zazdrość i chciwość władców, takich jak Filip IV Piękny. Ten ambitny, przebiegły i wiecznie zadłużony monarcha z pewnością spoglądał z pożądaniem zza murów swojego pałacu na paryską siedzibę templariuszy,

która była czymś w rodzaju średniowiecznego Fort Knox – pełnego złota, klejnotów i drogocennych artefaktów.

– Co się stało z tym złotem? – spytałem zafascynowany.

– Otóż właśnie... – profesor uśmiechnął się z satysfakcją. – 13 października 1307 roku, pod pretekstem fałszywych oskarżeń o herezję, Filip IV nakazał aresztować wszystkich członków zakonu, w tym wielkiego mistrza Jacques’a de Molaya. Skonfiskował liczne posiadłości templariuszy we Francji i zaatakował ich główną siedzibę, przekonany, że zdobędzie całe złoto ukryte w jej podziemiach.

– I nie znalazł go?

– Jedyne, co znalazł Filip IV, to ogromne rozczarowanie – odparł profesor z ironicznym uśmiechem. – Mimo że królewscy żołnierze przeszukali budynek od fundamentów po dach, nie znaleźli nawet jednej monety. Skarb templariuszy dosłownie rozplynął się w powietrzu.

– W takim razie co się stało ze złotem? – zaintrygowany zapytałem ponownie.

– Nikt tego nie wie. Po prostu zniknął – zakończył profesor, akcentując ostatnie słowo teatralnym gestem.

Przez chwilę milczałem, próbując uporządkować myśli.

– Profesorze, historia jest fascynująca, ale nie widzę związku między zaginionym złotem a naszym dzwonem. Wątpię, że te argumenty przekonają Hutchę.

Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo.

– Ulisesie. – Spojrzał na mnie znacząco i wygodniej rozsiadł się w fotelu. – To jeszcze nie koniec tej historii.

– I to ja jestem teatralny! – wykrzyknąłem z udawanym oburzeniem. – Dowiem się wreszcie wszystkiego, czy może zamierza mnie pan trzymać w niepewności przez cały poranek?

Profesor zaśmiał się cicho, zadowolony, że udało mu się mnie zirytować, po czym kontynuował opowieść.

– Po aresztowaniu wszystkich templariuszy we Francji król rozkazał ich torturować, licząc na to, że któryś z nich zdradzi miejsce ukrycia skarbu zakonu. Jednak, być może z lojalności wobec współbraci lub z też z powodu faktycznej niewiedzy, wszyscy, mimo okrutnych męczarni, jakim ich poddano, zachowali milczenie – tu profesor

zrobił pauzę, zdjął okulary i zaczął czyścić szkła chusteczką. – Wszyscy oprócz jednego.

– Mam wrażenie, profesorze, że przeczytał pan za dużo powieści sensacyjnych. Te dramatyczne pauzy zaczynają mnie denerwować.

– Już kończę, już kończę... Ale pozwól mi nacieszyć się tą chwilą, świetnie się bawię – przyznał z uśmiechem.

Zrezygnowany, opadłem na oparcie fotela i gestem dałem mu znak, by kontynuował, kiedy tylko zechce.

– Otóż był w zakonie pewien człowiek, niejaki Jean du Chalon – ciągnął profesor, wstając i podchodząc powoli do okna – który po torturach wyznał, że dzień przed masowym aresztowaniem templariuszy był świadkiem ewakuacji całego skarbu zgromadzonego w podziemiach głównej siedziby zakonu. Według jego słów pięćdziesięciu templariuszy eskortowało skarb podczas transportu z Paryża do portu La Rochelle na zachodnim wybrzeżu Francji. Portu, który – co ciekawe – również należał do bractwa. Tam, jak zeznał, skarb załadowano na osiemnaście statków, które wypłynęły w nieznanym kierunku – tu profesor zawiesił głos, spoglądając przez szybę, oraz dodał – i nigdy więcej nie widziano ani tej floty, ani przewożonych przez nią bogactw.

Przez dłuższą chwilę milczałem, próbując przetrawić wszystko to, co właśnie usłyszałem. W końcu spytałem niepewnie:

– Czy uważa pan, że dzwon, który znalazłem u wybrzeży Utili, pochodzi z jednego ze statków tej floty?

– Nie sądzę, Ulisesie – odparł profesor, odwracając się od okna i patrząc mi prosto w oczy. – Jestem tego absolutnie pewien.

– No dobrze, haczyk rzucony – powiedziałem, klikając ikonę „wyslij”. – Teraz pozostaje nam tylko czekać na odpowiedź.

– Jesteś pewien, że nie byłoby lepiej zadzwonić? – zapytał profesor, opierając się o blat biurka obiema rękami.

– Nie, nie sędzę. Z Johnem Hutchem niełatwo się skontaktować, a jeszcze trudniej wyjaśnić mu tak niezwykłą historię przez telefon. Jestem pewien, że codziennie sprawdza pocztę, a to, co napisaliśmy, z pewnością rozbudzi jego ciekawość.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Godzinę wcześniej weszliśmy do gabinetu profesora. Wystrój tego pomieszczenia zupełnie mnie zaskoczył. Pokój był przestronny i urządzony w minimalistycznym stylu. Na jednej ze ścian wisiał telewizor LCD, przypominający obraz, a na nowoczesnym biurku znajdował się kompletny zestaw komputerowy, obejmujący skaner, drukarkę i płaski monitor.

– No proszę, profesorze – powiedziałem szczerze zdumiony – jest pan jedną wielką niespodzianką. Nigdy bym nie przypuszczał, że lubi pan nowoczesne technologie.

– Cóż – przyznał z zadowoleniem – każdy ma swoje małe słabości. Ale proszę, nie mów o tym nikomu, muszę dbać o swoją reputację.

Przez najbliższe godziny nie mieliśmy nic do roboty. Z powodu różnicy czasu z Florydą odpowiedź mogła nadejść najwcześniej późnym popołudniem. Postanowiłem więc zaspokoić ciekawość i zacząłem wypytywać profesora Castilla o templariuszy oraz ich legendarny skarb.

– Dlaczego jest pan pewien, że ten dzwon pochodzi z jednego ze statków przewożących skarb? Czy nie mogła go zgubić jakaś wcześniej-sza wyprawa?

– Oczywiście, że tak. Ale to mało prawdopodobne. Choć jestem przekonany, że kartografowie zakonu wiedzieli o istnieniu Ameryki, nie sędzę, by istniało regularne połączenie między Starym a Nowym Światem. Gdyby przeprawiali się przez Atlantyk zbyt często, w końcu ktoś by ich nakrył. Jakiś marynarz mógłby za dużo powiedzieć lub natknąłby się na ich angielski, hiszpański czy portugalski statek – zrobił krótką pauzę i podszedł do barku. Poza tym trasa do Ameryki, wykorzystująca północny prąd równikowy, zaczynała się na Wyspach Kanaryjskich, gdzie musieliby się zatrzymać, aby uzupełnić zapasy żywności i wody. Regularne wizyty templariuszy na Kanarach wzbudziłyby podejrzenia. A skoro nigdy ich nie spotkano ani nie odnotowano żadnego nietypowego ruchu statków zakonu w tamtym rejonie, logiczne jest przypuszczenie, że takich wypraw było bardzo niewiele.

– Najbardziej zaskakuje mnie, że mówi pan, iż już na początku XIV wieku wiadano o istnieniu Ameryki.

– W rzeczywistości znano ją znacznie wcześniej. Napijesz się czegoś? – zapytał, wskazując na butelki z likierem.

– Nie, dziękuję – odmówiłem gestem. – Od kiedy wiadano o jej istnieniu?

– Och, kto wie... może już od czasów Fenicjan, a może nawet wcześniej.

– Ale jak można było pokonać wówczas Atlantyk? I dlaczego nie ma na to żadnych dowodów?

Profesor pokręcił głową.

– Pytanie brzmi: jak to możliwe, że przez trzy tysiące lat udokumentowanej historii nikt, nawet przypadkiem, nie odkrył ogromnego kontynentu rozciągającego się od bieguna północnego do południowego? Jeśli wrzucisz butelkę do morza przy wyspie El Hierro na Kanarach, istnieje duże prawdopodobieństwo, że po kilku miesiącach dotrze ona do wybrzeży Ameryki. Pamiętaj, że Fenicjanie byli doskonałymi żeglarzami. Poczekaj – podniósł rękę – mam coś, co chciałbym ci pokazać.

Wyszedł z gabinetu i przez kilka minut przeszukiwał półki z książkami. W końcu, z triumfalnym okrzykiem „Eureka!”, wrócił do pokoju, trzymając w dłoniach otwartą, zakurzoną książkę.

– Spójrz tutaj – wskazał z dumą. – To relacja Herodota dotycząca wyprawy, którą faraon Necho II zlecił fenickim żeglarzom w 608 roku

przed Chrystusem. Mieli zbadać, co znajduje się za Morzem Czerwonym. Cytuję: „...rozkazał Fenicjanom, by na swych statkach wyruszyli w podróż, opłynęli Afrykę, minęli Słupy Heraklesa i powrócili do Egiptu. Fenicjanie wypłynęli więc z Morza Czerwonego i skierowali się na południe. Podczas tej wyprawy, gdy nadchodziła jesień, schodzili na ląd, siali zboże i czekali na żniwa. Po zbiorach znów ruszali w drogę. Tak minęły dwa lata, a w trzecim roku opłynęli Słupy Heraklesa i powrócili do Egiptu”. – Spojrzał na mnie z oczekiwaniem. – Co o tym sądzisz?

– Nigdy bym nie pomyślał, że all inclusive było modne już sześćset lat przed Chrystusem.

– Ale to nie wszystko – kontynuował, ignorując mój żart. – W XIX wieku na wybrzeżu Brazylii, w Paraibie, odkryto inskrypcję wyrytą w skale przez rozbitków ze statku, który wypłynął z Morza Czerwonego, opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, a następnie, żeglując wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, został porwany przez prądy na nieznany ląd. – Profesor zrobił dramatyczną pauzę i dodał: – Inskrypcja była zapisana znakami fenickiego alfabetu.

– Rozumiem – przyznałem, choć wciąż miałem pewne wątpliwości.

– Ale nadal nie wierzysz – zauważył, dostrzegając mój sceptycyzm. – Przeplnięcie Atlantyku, jeśli zna się odpowiednie prądy i wiatry, nie jest tak trudne, jak mogłoby się wydawać. Niektórzy dokonali tego, używając łodzi wiosłowych lub desek windsurfingowych. Kilka lat temu żeglarz Thor Heyerdahl przeplnął z Afryki do Ameryki Południowej na łodzi zbudowanej na wzór tych używanych w starożytnym Egipcie, co dowodzi, że technicznie było to możliwe już wtedy.

– Tak – odparłem – ale Heyerdahl wiedział, dokąd płynie. Tymczasem jeszcze pięćset lat temu sądzono, że Atlantykt to ogromny ocean rozciągający się aż do Chin, pełen potworów pożerających statki śmiałków, którzy zapuścili się zbyt daleko od brzegu.

– A wiesz, kto stworzył ten mit?

– Nie mam pojęcia.

– Fenicjanie, Ulisesie. To właśnie Fenicjanie.

– Ale po co mieliby to robić?

– Z bardzo prostego powodu – dla pieniędzy. Fenicjanie byli najlepszymi żeglarzami i kupcami swoich czasów, handlującymi nawet

z Indiami, zachodnią Afryką czy Islandią. Dlatego logiczne było, że chcieli utrzymać swoje szlaki w tajemnicy, odstraszać każdego, kto chciałby odkryć, co znajduje się za Cieśniną Gibraltarską, pełną potworów i opowieści o katastrofach. Fakt, że ten mit przetrwał dwa tysiące lat, sugeruje, że komuś zależało na jego podtrzymaniu.

– Mówi pan o spisku fenicko-templariuszowskim? Z całym szacunkiem, profesorze, ale brzmi to jak czysta fantazja.

– Pomyśl – spojrzał na mnie uważnie. – Fenicjanie – lub może jeszcze wcześniejsi żeglarze – docierają do Ameryki i postanawiają to ukryć, strasząc legendami każdego, kto mógłby zechcieć podążać ich śladami. Wieki później templariusze odkrywają w Syrii dokumenty opisujące trasę do nieznanych ziem. Postanawiają to zweryfikować i... bingo!

– Bingo?

– Odkrywają Amerykę! A raczej odkrywają ją na nowo. Następnie, z jakiegoś powodu, utrzymują to w tajemnicy, aż na scenę wkracza nasz drogi Krzysztof Kolumb – zakończył profesor z triumfalnym wyrazem twarzy, krzyżując ręce na piersi.

– Wybacz pan, że będę adwokatem diabła – odparłem, opierając dłonie na kolanach – ale to wszystko brzmi wyłącznie jak poszlaki. Gdyby to był proces, oskarżony zostałby uniewinniony z braku twardego dowodów.

– Chcesz dowodów? – spytał wyzywająco. – A uwierzysz mi, jeśli udowodnię, że Kolumb nie był pierwszym żeglarzem, który dotarł do Ameryki, i że swój sukces zawdzięczał wiedzy pochodzącej bezpośrednio od templariuszy?

– Taki dowód z pewnością rozbudziłby we mnie iskrę poszukiwacza prawdy.

– Lepiej, żeby tak było, bo w przeciwnym razie wyrzucę cię z domu za upór i głupotę – odparł, grożąc mi palcem. – Posłuchaj więc uważnie. Jak już wcześniej wspomniałem – kontynuował uroczystym tonem – Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa został rozwiązany przez króla Francji Filipa IV oraz papieża Klemensa V. Ostatni wielki mistrz, Jacques de Molay, został spalony na stosie w Paryżu 18 marca 1314 roku. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że historia kończy się w dramatyczny sposób: członkowie zakonu trafiają do więzień lub na stosy, ich majątek zostaje skonfiskowany,

a skarb znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jednak nie wszyscy templariusze w Europie zostali pojmani. W królestwach takich jak Portugalia przyjęto ich z otwartymi ramionami, a dzięki sprytnemu zabiegowi znaleźli schronienie pod skrzydłami nowej formacji, którą sami powołali za zgodą króla Portugalii – Zakonu Chrystusa. Choć byli uczciwi, wybór nowej nazwy nie należał do najbardziej oryginalnych.

Profesor Castillo krążył po gabinecie z nieobecnym wzrokiem, jakby wygłaszał jeden ze swoich wykładów na wydziale historii.

– Zakon ten – kontynuował – przejął wszystkie archiwa templariuszy, w tym mapy, plany i dzienniki pokładowe. Przez niemal sto lat utrzymywał ich istnienie w tajemnicy. Dopiero na początku XV wieku zaczął stopniowo dzielić się wiedzą nawigacyjną z dworem portugalskiego księcia Henryka Żeglarza. Pod jego patronatem rozpoczął się okres bezprecedensowego rozkwitu eksploracji morskiej. Portugalskie statki docierały do odległych zakątków afrykańskiego wybrzeża, zakładając kwitnące kolonie na Maderze i Azorach. Co ciekawe, statki nigdy nie popłynęły dalej niż do Wysp Zielonego Przylądka, mimo że wystarczyło dać się ponieść pasatom, by w kilka dni dotrzeć do wybrzeży Brazylii – powiedział, gestykulując dłonią w kierunku zachodu. – To niezwykle zachowanie było niewątpliwie wynikiem porozumienia między Zakonem Chrystusa a księciem Henrykiem. Ochrona w zamian za ograniczoną wiedzę, ponieważ dawni templariusze najwyraźniej nie chcieli, aby ktokolwiek inny postawił stopę w Ameryce. Dowodem na to jest fakt, że wszystkie portugalskie statki płynące dalej niż przylądek Bojador w kierunku Wysp Kanaryjskich musiały mieć na żaglach wymalowany krzyż templariuszy jako znak rozpoznawczy.

– Chce pan powiedzieć – przerwałem mu – że ten wielki czerwony krzyż, który widnieje na wszystkich ilustracjach przedstawiających statki Kolumba, to znak templariuszy?

– Dokładnie tak.

– Chyba nie zamierza pan teraz twierdzić, że Kolumb był templariuszem?

– Czy mogę dokończyć? – zapytał, marszcząc brwi.

– Oczywiście, profesorze – zgodziłem się z lekkim uśmiechem. – Proszę kontynuować.

– Na czym to ja skończyłem? – zapytał, wpatrując się w sufit. – Ach, tak. Mówiłem, że templariusze, pod przykrywką Zakonu Chrystusa, kontrolowali ruch morski na Atlantyku. Aż tu nagle, wskutek katastrofy i zatonięcia statku, na portugalskie wybrzeże Algarve trafia zrozpaczony, obdarty żeglarz. Dzięki swojej charyzmie, sprytowi i ambicji, w ciągu niespełna trzech lat żeni się z Doñą Felipą Moniz de Perestrello, kobietą ze szlacheckiego rodu, córką portugalskiego odkrywcy Diego de Perestrello, człowieka głęboko wierzącego i blisko związanego z Zakonem Chrystusa. Ten rozbitek – powiedział profesor, ponownie siadając – o którym nie wiadomo było ani jak miał na imię, ani jakiego był wyznania, ani nawet skąd pochodził, zdobył ogromne doświadczenie jako żeglarz na usługach genueńskich kupców, docierając do odległych miejsc, takich jak wybrzeża Gwinei. Prawdziwe szczęście uśmiechnęło się do niego, gdy podczas przeszukiwania skrzyni odziedziczonej po niedawno zmarłym teściu natrafił na dziwne mapy nawigacyjne należące do Zakonu Chrystusa, na których zaznaczono nieznane mu ziemie „...750 lig na zachód od wyspy El Hierro”. Ten człowiek – oznajmił profesor, łącząc opuszki palców – jak zapewne się domyślasz, nosił imię Krzysztof Kolumb.

– Czyli... – wtrąciłem, oszołomiony tym, co właśnie usłyszałem – sugeruje pan, że Kolumb dotarł do Ameryki dzięki mapie, która wskazywała mu drogę?

– Nie tylko dzięki mapie – sprostował profesor – ale także całemu zbiorowi notatek dotyczących odległości, prądów morskich, wiatrów i czasu żeglugi. Niestety, część zapisków była zaszyfrowana, co doprowadziło do kilku pozornie niewytłumaczalnych błędów podczas pierwszej wyprawy przez ocean. Przykładowo Kolumb pomylił mile hiszpańskie z arabskimi, co sprawiło, że błędnie oszacował odległość do lądu. O mało nie skończyło się to buntem na pokładzie „Santa Marii”.

– Trudno w to uwierzyć... – przyznałem szczerze.

– Lepiej zacznij – odparł ostro – bo to wszystko prawda. Wystarczy przeczytać „Kapitulację Santa Fe”, umowę którą Kolumb podpisał z Królami Katolickimi w 1492 roku jeszcze przed wyprawą. Dokument ten nadaje mu tytuł „Admirała i Wicekróla ziem, które odkrył na oceanach”. Dosłownie tak tam napisano: „które odkrył”, a nie „które odkryje”.

Profesor Castillo zamilkł, jakby czekał na moją reakcję. Ja jednak potrzebowalem chwili, by przetrwać to, co właśnie usłyszałem.

– Odebrało mi mowę. To najbardziej niesamowita historia, jaką kiedykolwiek słyszałem – wydusiłem w końcu.

– Czyli wreszcie uwierzysz w to, co mówię?

– Cóż, wie pan, że jestem niepoprawnym sceptykiem, ale w tej kwestii zaufam pańskiej wiedzy.

– I bardzo dobrze – odpowiedział, wstając z fotela. – A teraz chodźmy na piwo do baru na dole, bo gardło mi wyschło od tego gadania.

Piwo zamieniło się w aperitif, ten w obiad, a obiad w deser, więc do mieszkania profesora wróciliśmy dopiero po czwartej. W tym czasie Castillo zasypywał mnie szczegółami „alternatywnej historii”, której próżno szukać w szkolnych podręcznikach. Opowiadał, że w różnych miejscach Ameryki regularnie odnajdywano egipskie amulety, kartagińskie monety czy fenickie narzędzia. Problem w tym, że część tych przedmiotów kupiono w Starym Świecie i podrzucono w Nowym, aby mogły zostać „przypadkowo odkryte” przez jakiegoś amatora archeologii. Dlatego wszystkie podobne znaleziska zaczęto traktować z dużą ostrożnością, nawet te, które wydawały się najbardziej wiarygodne.

Długo rozmawialiśmy również o Krzysztofie Kolumbie.

– To dziwne – zauważył profesor – że do dziś nie udało się jednoznacznie ustalić, skąd pochodził. Oficjalna wersja głosi, że był genueńskim żeglarzem, synem handlarza tkaninami, który podczas jednej z podróży handlowych został napadnięty przez piratów u wybrzeży Portugalii. Tak miał trafić na plażę w Algarve. Jednak niedawno dowiedziono, że jedyny dokument, w którym Kolumb twierdził, iż jest Genuńczykiem, został sfałszowany. W związku z tym cała ta historia straciła wiarygodność. Co więcej, Kolumb nigdy nie napisał ani słowa po włosku – nawet w listach do genueńskich bankierów z prośbą o pieniądze. Najbardziej prawdopodobne – wyjaśniał profesor – jest to, że pochodził z rodziny katalońskich lub majorkańskich kupców żydowskiego pochodzenia. To tłumaczyłoby, dlaczego ukrywał swoje korzenie, nawet przed własnymi dziećmi. Sam rozumiesz – dodał z grymasem – że w tamtych czasach bycie Żydem nie było zbyt bezpieczne.

Po powrocie do mieszkania profesora od razu udaliśmy się do gabinetu. W rogu ekranu komputera migła ikona koperty, informująca o nadejściu nowej wiadomości.